Rok VI. 2 Grudnia 1934. Nr. 49

DZWONECZEK

Dzień świętego Mikołaja.

Nadchodzi już tak przez wszystkie dzieci zawsze oczekiwany dzień św. Mikołaja. Ileż to westchnień, ile próśb serdecznych wznosi się od wielu tygodni z ziemi ku niebu, skąd nadejść ma ukochany święty Starzec z długą siwą brodą, w szatach wspaniałych, z biskupim pastorałem w ręku. Na samo wspomnienie o nim grzecznieją dzieci, choćby nie wiem jak niegrzeczne i nieposłuszne; leniuszki, dla których zawsze zadługi się wydaje paciorek, skwapliwie powtarzają za mamą, a choćby i same, słowa modlitwy porannej czy wieczornej... Przeróżne beksy, mazgaje, grymaśniki, a choćby i złośniki, jak na komendę przestają ronić rzęsiste łzy, gdy tylko usłyszą słowa:

— Poczekaj, nic ci nie przyniesie święty Mikołaj, zobaczysz...

I gdyby tak codziennie miał przychodzić święty Mikołaj z podarkami, gotówby się cały narodek dziecięcy na świecie odmienić na lepsze. Wszystkie niegrzeczniki, z którymi biedne mamy tyle mają kłopotu, stałyby się najgrzeczniejszymi synkami i córeczkami... Ale czy to można w takie rzeczy uwierzyć?

Do przyjemności zanadto prędko człowiek się przyzwyczaja. Podobnie byłoby pewnie i z dziećmi. A wtedy nawet i święty Mikołaj możeby sobie nie mógł poradzić, bo dzieci codziennem obdarowywaniem zupełnieby się popsuły. Dobrze więc jest, że św. Mikołaj przychodzi tylko raz do roku w dzień imienin swoich i wszystkich na ziemi Mikołajków. Dzieci niegrzeczne mają tym sposobem dosyć czasu do poprawy, a grzeczne — do stawania się grzeczniejszemi.

Wartoby zatem zapytać się wszystkich małych Czytelników „Dzwoneczka“, o ile uważają, iż postąpili od roku na drodze stawania się coraz lepszymi, i czy rzeczywiście godni są odwiedzin dobrotliwego Patrona i jego młodszego towarzysza z anielskiemi u ramion skrzydłami.

Tylko tego trzeciego, czarno-czerwonego, z różkami na głowie, niechaj nikt do domu swego nie dopuszcza, bo czyż można wyobrazić sobie, by z takim chciał się zadawać i chodzić po ziemi święty z nieba! Wogóle, niechajbyście wy same, dzieci, rozpoczęły walkę z tym brzydkim zwyczajem łączenia osoby świętego Mikołaja z djabłem. Jeśli nie zechcecie pod żadną postacią mieć z nim cokolwiek do czynienia, to znikną nareszcie te wstrętne figury, wzbudzające w najmłodszych postrach swoim wyglądem djabelskim, jakoteż i wszelkie zabawki, jakiemi się powszechnie ludzie obdarowują w dzień św. Mikołaja.

Nie zasłużył on wcale na to, żeby go stawiać obok mieszkańca piekieł. Był to przecież mąż wielkiej świętości, płomienny czciciel i miłośnik Zbawiciela, miłosierny opiekun wszelkich nędzarzy i opuszczonych dzieci. Jakąż zatem zniewagę wyrządza się temu świętemu Biskupowi, wyobrażając sobie, że on do domu, gdzie żyją dzieci, wszedłby razem z tym wrogiem Boga i ludzi.

A zatem Redakcja „Dzwoneczka“ życzy wszystkim swoim małym Czytelnikom, by nigdy pod ich dach nie weszło nic takiego, czemby musiał się brzydzić św. Mikołaj i jego anielski towarzysz. *Red.*

W NIEWOLI.

Naprzeciwko okna Jacusiowego pokoju, w dużym rozłożystym krzaku bzu, zamieszkał młody słowiczek. Rodzice wcześnie go opuścili, by szedł w świat o własnych siłach. Szara niepokaźna ptaszyna obrała sobie ów krzak za mieszkanie. Gdy po nocy szarzało i na niebie ledwie zaczęły pokazywać się promienie wschodzącego słońca, boży śpiewak już wydawał z gardziołka swoje przecudne trele Bogu na chwałę, ludziom na pociechę. Długi czas mieszkał ptaszek naprzeciw Jacusiowych okien, lecz chłopczyk o tem nie wiedział, bo Jacuś był wielkim leniuszkiem i do późna lubiał się wysypiać. Aż raz z powodu łakomstwa zachorował i nie mógł z tego powodu spać spokojnie jak zwykle. Właśnie już dniało i słowik rozpoczął swoje poranne pacierze, gdy obudził się nicpoń mały. Usłyszawszy śpiew ptaszyny, podszedł cichaczem do okna i tak długo wpatrywał się w krzaki bzowe, aż wypatrzył miejsce, gdzie siedział ptaszek.

Nazajutrz umówił się ze swoim towarzyszem zabaw, małym pastuszkiem gęsi, Jasiem, i obaj postanowili schwytać ptaszka do klatki, by im w domu śpiewał. Jasiek sporządził sidła, Jacuś klateczkę po kanarku oczyścił, naprawił i z niecierpliwością czekał deszczowego dnia, bo wówczas ptaszki bywają senne i nie odlatują daleko od gniazd, tylko tyle, aby znaleść sobie pożywienie. Obok umocowanych sideł położyli chłopcy coś na przynętę i słowiczek, jako młody, niedoświadczony jeszcze, a ciekawy ptaszek, łatwo się skusił na nieznany przysmak. Niestety, ciekawość swoją przypłacił wolnością, gdyż złapał się za nóżkę w sidła i dostał się w ręce czatującego Jacusia. Z tryumfującą miną przyniósł ptaszka do pokoju, wsadził do klatki, dał mu wody, ziarenka, a nawet, aby mu się wydawało, że jest wśród przyrody, kawałek darniny zielonej położył na spodzie klatki.

To wszystko jednak nie uspokoiło ptaszka. Wystraszony, z opuchniętą nóżką, skulił się w kąciku klatki i osowiałem koralikowem oczkiem patrzył na straszne dla niego więzienie, dzielące go prętami drucianemi od słońca i świata. Niekiedy zrywał się, uderzał główką o druty i znowu powracał do swojego kącika.

Jacuś w szkole pochwalił się kolegom ze swojej zdobyczy, popołudniu poszedł w odwiedziny do kolegi, następnie goście przeszkodzili mu w zajrzeniu do ptaszka; nazajutrz zaspał sobie, tak, że omal nie spóźnił się do szkoły, i złajany przez matkę, zapomniał znowu o więźniu.

A ptaszek?... Daremnie uderzając o pręty dla wydostania się z klatki, omdlały upadł bezsilnie na dno klatki. Dopiero matka Jacusia, szukając czegoś w pokoju, przypadkiem zauważyła jeńca, otworzyła więc czemprędzej klatkę, wyjęła ptaszynę, wlała mu w dzióbek parę kropel wody, a następnie w pudełku wyniosła do krzaków bzu, by na powietrzu przyszedł do siebie. Po paru godzinach słońce i wolność uratowały życie ptaszęciu, lecz długie dni jeszcze chore i bezsilne nie mogło śpiewać swoich cudnych pieśni.

Gdy ozdrowiał, przeniósł się słowiczek w inne strony, w sąsiedztwo lepszych dzieci.

Nie chwytajcie nigdy ptaszków do klatki, bo one zrodzone i zżyte z wolnością, nie mogą ani śpiewać ani żyć w niewoli.

G. M.

ZA KRZYŻEM

(Ciąg dalszy).

Wśród takiego to życia upływały lata jeńcom polskim w nieustannej tęsknocie za krajem. I znowu jesień zasłała podnóże puszczy stosem uschłych liści, gdy o pierwszych mrozach października, a było to w roku 1386, zahuczały dziwnemi głosami najdalej ku Polsce wyciągnięte krańce odwiecznych borów. Poprzez zamrożone bagniska Litwy, poprzez cmentarzyska pogańskie na skrajach lasów, ciągnął niewidziany nigdy przedtem pochód wspaniały. To z Polski jechała w licznym orszaku książąt i rycerstwa, świeżo poślubiona para królewska: młodziutka królowa Polski, Jadwiga, ze swoim mężem, królem Władysławem Jagiełłą, który do niedawno jeszcze był pogańskim księciem Litwy.

Nie wiedzieli biedni, w niewoli trzymani Polacy, że tam, w dalekiej ich ojczyźnie, po nieszczęśliwem panowaniu króla Ludwika, zasiadła na tronie młodziutka jego córka, Jadwiga. Mężem jej miał być książę niemiecki Wilhelm, z którym w dzieciństwie jeszcze zaręczoną została, ale Polacy nie chcieli widzieć panem swoim Niemca. Innego męża wyszukali przepięknej dzieweczce, nie zważając na to, czy jej serce boleścią się wielką zakrwawi, gdy pojąć będzie musiała niekochanego. Młoda królowa, poznawszy zamysły Polaków, którzy w połączeniu Polski z Litwą widzieli przyszłe szczęście i potęgę obu narodów, zgodziła się poświęcić swoje serce dla dobra ludu, którego matką została. Wyrzekła się swego narzeczonego, a przyjęła za męża Jagiełłę, otrzymawszy z ust jego obietnicę, że wraz z całą Litwą przyjmie wiarę chrześcijańską.

I oto teraz właśnie, po chrzcie świętym, po ślubie i koronacji na króla polskiego w Krakowie, w katedrze wawelskiej, jechał Jagiełło do swojej Litwy, by jej oznajmić, iż wyrzec się będzie musiała, jak on, czczonych dotychczas bóstw pogańskich. Zamieszkał w stolicy swej litewskiej, Wilnie, i przeczekawszy tam zimę, zwołał na wiosnę lud z całego kraju.

— Idą Lachy, krzyż swój niosą na naszą Litwę — wołano — krzyż lacki ma wygnać nasze bogi z gajów świętych...

Przerażenie ogarnęło pogan na wiadomość, że nadszedł czas porzucenia odwiecznej wiary.

— Zemsta, okrutna zemsta czeka was od pogwałconych bogów — jęczał lud, nie mogąc zrozumieć, jak jeden jedyny bóg może być potężniejszym i lepszym od tylu rozmaitych bóstw pogańskich.

Nadszedł wreszcie dzień oznaczony. W świętym gaju na Łukiszkach, pod zamkiem wielkoksiążęcym w Wilnie, zebrały się tysiące pogan, by z ust kapłanów chrześcijańskich wysłuchać nauki o prawdziwym i jedynym Bogu. Na miejscu, gdzie do niedawna płonął święty dla Litwinów ogień, zwany Zniczem, stanął wielki krzyż z wizerunkiem tego Boga, który im zastąpić miał wszystkie ich niebieskie i ziemskie, powietrzne i wodne, leśne i domowe bóstwa odwieczne. Strwożone oczy ludu przechodziły po kolei od bolesnej twarzy Boga, rozpiętego na tajemnym znaku, do poruszanej wiatrem chorągwi polskiej z orłem białym, pod którą miejsce zajęła para królewska wraz z dworem i rycerzami. Obcy kapłani w dziwnych, nieznanych szatach, zalewali wodą ognie święte, które gasły z sykiem, jakby skarżąc się i grożąc przeniewiercom. Ginęły pod butami i oszczepami żołnierzy, czczone jako święte, węże i żmije, padały pod ostremi siekierami odwieczne dęby, kryjące w sobie bóstwa.

Oniemiali poganie patrzyli z przerażeniem na okrutną zagładę wszystkiego, co stanowiło ich dotychczasową wiarę, ich świętość największą. Pojąć nie umieli, dlaczego te gwałcone bóstwa nie zsyłają kar srogich na gnębicieli, dlaczego najwyższy Perkunas ogniem z nieba nie wyniszczy tych, co śmią wydzierać mu cześć i władzę.

Powoli w duszach ich budzić się zaczęła nieufność do własnych bóstw, które w tak ciężkiej chwili pozostawiają bez opieki swoich wyznawców. Uśmiechały się też półnagim Litwinom piękne, wełniane szaty białe, jakiemi obdarowywano tych, którzy przyjmowali chrzest z ręki przybyłych z Polski kapłanów. Całe gromady pogan ochrzczonych jednem, wspólnem imieniem, gdyż na chrzest każdego z osobna nie było czasu, roznosiły wśród braci radość z otrzymanych sukien, nie rozumieli bowiem dokładnie, że nie one stanowią treść przyjętej wiary. Biednych, w odwiecznej ciemnocie żyjących dusz ludu litewskiego nie mogła odrazu przeniknąć jasność, w jakiej wyrosły i jaką żyły dusze Ludomira i Dobrochny.

Oni wtuleni w tej chwili w gąszcz krzaków, z bezbrzeżną radością i szczęściem, wpatrywali się w wielki znak swojej wiary i modlitwą bez słów zwracali się do tego Boga swojego, który z wysokiego drzewca odkupienia zdawał się im błogosławić za wielką miłość do Niego, za ufność w niedoli.

Zwolna wzrok dzieci przeszedł na postać cudownie pięknej królowej, z błyszczącym kielichem w dłoni. Ku rozpiętemu na krzyżu Zbawicielowi podniosła Jadwiga oczy, powstawszy z miejsca, gdzie siedziała obok swegó męża i króla, który wręczał klęczącemu zakonnikowi złoty pastorał na znak, że go mianuje biskupem wileńskim. To właśnie dla niego trzymała królowa kielich, w którym po raz pierwszy owego pamiętnego dnia miała się odbyć odwieczna Ofiara Mszy świętej na ziemi Litewskiej.

Poprzez zamglone łzami szczęścia źrenice widziały sieroty bogaty tłum litewskich panów, książąt, braci królewskich i ich strojne małżonki.

(*Dokończenie nastąpi*). *Ela Oleska.*

Szarady, zagadki — dla naszej gromadki

Pierwsze-drugie od świtu do wieczoru
Jak głos psotnika rozlega się w boru.
My zaś pójdziemy do dworu,
Kędy poddane swoje przyzywa
Król podwórza
I gdzie o ziarnko jedno bywa
Targająca pierzem burza
Naprzemian z senną ciszą.
Tam gdy ze swego podwórka
Pierwsze-trzecie usłyszą,
Że raz za razem kur powtarza
Z jakiegoś płotka, przymurka,
Pierwsze-drugie-trzecie-drugie,
W mig się zbiegną
Wraz z drobiem, co był na stawie —
I w czekającej postawie
Próg domu oblegną,
A jedna za drugą, jak do lusterka,
W próżną miskę wciąż zerka,
Oczkiem cicho prosi,
Łapką w piasku skrobie —
I marzy sobie,
Czy z progu sieni
Sypnie ręka gosposi
Z pośladem ziarna — przysmaki,
Co mają słowa dwa w nazwaniu,
Pierwsze-drugie i *trzecie-czwarte*,
A są dla drobiu przy śniadaniu
Napewne tyle warte,
Co *trzecie-czwarte* między maślaki
Gdy się trafi w grzybobraniu.

Rozwiązanie z numeru 47:

Rozsypanka: Kiedy ranne wstają zorze, Tobie ziemia, Tobie morze, Tobie śpiewa żywioł wszelki: Bądź pochwalon, Boże Wielki!

Figiel: Anna.